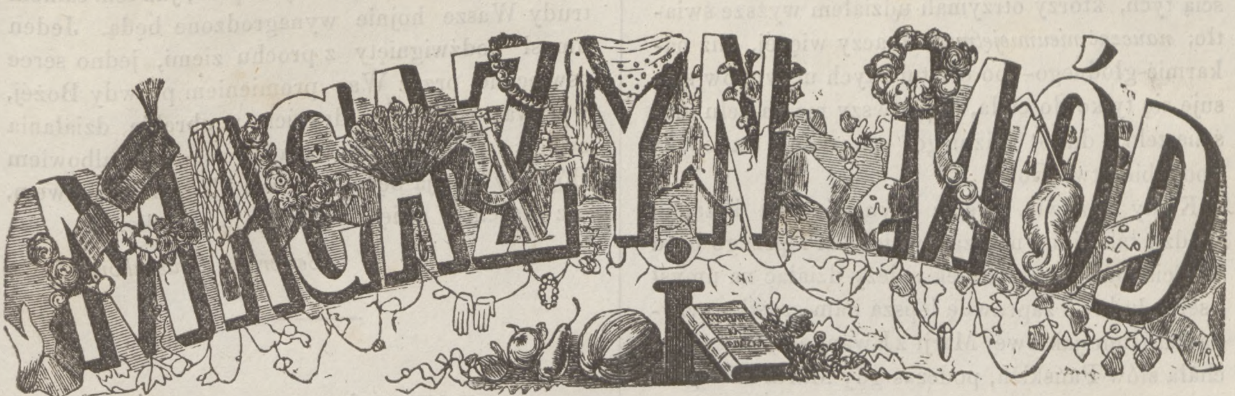
Warszawa, dnia 17/29 Czerwca №. 26. Rok 1861



ORZ I MINHEIMERA.

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Cena. *w Warszawie rocznie* rs. 6. *Półrocznie* Rs. 3. *Kwartalnie* Rs. 1 k. 50. *Na prowincyi rocznie* rs. 7 k. 20, *półrocznie* rs. 3 k. 75. W *Cesarstwie* i *Królestwie*, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* Rs. 9 k. 20; *półrocznie* rs. 4 k. 75.

Prenumerować można w Redakcyi przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Ekspedycyi głównéj **Magazynu Mód** w Księgarni *M. Glücksberga*, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście N. 9 (411); w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych, w Księgarni P. W. Zacharkiewicza w Mohylewie nad Dnieprem i we wszystkich Księgarniach w kraju i za granicą.

Od Redakcji.

Ponieważ z dniem pierwszym Lipca b. r. kończy się prenumerata na *Magazyn Mód*, upraszamy przeto Szanownych Prenumeratorów o wczesne zapisywanie się na półrocze drugie, abyśmy stosownie do odebranych zapisów, odpowiednią liczbę rycin z Paryża sprowadzić mogli.

W drugiém półroczu, *Magazyn Mód* w téj saméj wychodzić będzie formie, treści i dążności, a pomimo znacznie zwiększonych kosztów wydawnictwa, zapewnić możemy Szanownych Prenumeratorów, że w dalszym rozwoju pisma starać się ciągle będziemy o wszelkie możliwe ulepszenia, tak, aby publikacja ta pod każdym względem odpowiedziała wymaganiom naszych Polek.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama; do każdego zaś numeru, jak dotąd tak i nadal dołączane będą ryciny paryzkie z modami, albo wzory haftu białego, krojów i inne podobne dodatki.

Wszelkie doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach perjodycznych warszawskich.

DO POLEK.

Przy zeszłym numerze pisma naszego dołączoną była *Modlitwa poranna* do odmawiania z ludem. Szanowne Polki przeczytawszy ją, odgadły zapewne odrazu, że ta książeczka przesłaną im była po to, aby im ułatwić działanie na lud wiejski, tak pobożny, poczciwy i zacny, a obok tego tak jeszcze ciemny i nieokrzesany. Tak jest, szanowne współrodaczki! Bóg w Wasze ręce powierza wielkie dzieło, które spełnić jest dziś Waszym świętym obowiązkiem. Z serc Waszych, przejętych miłością dla powszechnego dobra, ma wyjść ten posiew Boży, który rozrodzi się w bujne plony, skoro padnie na proste, a pełne wiary serca ludu.

Ojcowie nasi, godni najwyższéj czci z tylu względów, nie dorósłszy jeszcze do pojęć prawdziwego braterstwa między ludźmi, zgrzeszyli może zaniedbaniem uprawy umysłowéj w pośród tych młodszych braci swoich; do nas więc należy powetować ich uchybienie, spłacić dług zaciągnięty w obec Boga i społeczeństwa. Pamiętajmy, że dopóki wina ojców cięży twardém brzemieniem na nas, dopóty Bóg nie może nam błogosławić. Ale zadosyćuczynienie spoczywa w naszéj woli. Nieszczędźmy więc trudu i ofiar, ożywione błogą nadzieją, że każde wysilenie nasze, każdy czyn spełniony w du-

chu miłości i prawdy, przeważy szalę sprawiedliwości Boskiéj i zapewni nam miłosierdzie.

Nauczać nieumiejętnych konieczną jest powinnością tych, którzy otrzymali udziałem wyższe światło; *nauczać nieumiejętnych* znaczy więcéj, niż nakarmić głodnego—bo ostatni z tych uczynków stosuje się tylko do ciała, a pierwszy ma na celu nieśmiertelną duszę bliźniego, stworzoną na obraz i podobieństwo Boże.

Kiedy mężowie, bracia i synowie nasi krzątają się dziś tak pilnie nad zapewnieniem lepszego bytu włościanom; do nas Polek należy działać na umysł i serce ludu—i zaprawdę lepsza nam cząstka przypadła! istnie jak owéj Marji z Ewangelji, która słuchała słów Pańskich, podczas gdy Marta zabiegała około domu, aby hojnie ugościć Zbawiciela.

Praca nad oświeceniem ludu nie jest łatwą: trudno walczyć z ciemnotą i przesądem, trudno pokonywać lenistwo ducha, budzić go z wiekowéj ospałości; trudniej jeszcze przełamywać złą wolę i uporczywą nieufność. Ale pamiętajmy, że im trudniejsza praca, tém bogatsze plony; im mozolniejszy posiew, tém obfitsze żniwo. Żadna kropla potu nie pada napróżno w winnicy Pańskiéj, ale każda użyźnia ją i stokrotne zapewnia dla przyszłości owoce.

Maleńka książeczka, ofiarowana Wam zacne Polki! powtarzam raz jeszcze, ułatwi Wam tę pracę. Znajdziecie w niéj wszystko co potrzeba, aby oświecić prosty umysł ludu, ogrzać i skruszyć jego serce, zwrócić jego myśl w głąb własnego sumienia i dać mu wyczytać w niém owe zgłoski wyryte ręką Bożą, a zatarte nieraz siłą nawyknienia lub przesądu. W téj książeczce znajdziemy myśl wyższą, prostém oddaną słowem, która wniknąwszy w przekonanie kmiotka, ugodni go w obec Boga, ludzi i samego siebie, rozszerzy koło ciasnych jego pojęć—a tém samém postawi go na wyższym stopniu moralnego i społecznego wykształcenia.

Nie lękajcie się zacne Rodaczki moje, aby praca podjęta w tym względzie, nakładała na barki Wasze nowy ciężar, któryby Was odrywał od pełnienia zwykłych obowiązków. Dosyć Wam poświęcić pół godzinki w każdą Niedzielę i Święto, a czas ten wystarczy na wspólną modlitwę z ludem, i na odczytanie mu ważnych uwag, zawartych w książeczce w krótkich słowach. Obierzcie na to chwilę poranną, zanim lud pójdzie do kościoła; a ta wielka wyniknie ztąd korzyść, że idąc na nabożeństwo z myślą skierowaną do wyższego celu, będzie chwalił Boga z większém ducha skupieniem, i modlitwa jego stokroć obfitszy przyniesie mu pożytek.

Zalecam Wam przede wszystkiém, zacne Siostry moje, wytrwałość i niezmordowaną cierpliwość na téj drodze. Z razu może Wam się wydawać, że praca Wasza daremna, że porzucacie ziarno na kamienistą i jałową rolę; ale niechaj Was to nie zraża: niech tylko setne ziarno wyda plon, już tém samém trudy Wasze hojnie wynagrodzone będą. Jeden umysł podźwignięty z prochu ziemi, jedno serce oświecone przez Was promieniem prawdy Bożéj, wpływać będzie na drugich w obrębie działania swego; a rozbudzona iskra nie zagaśnie, albowiem Bóg ożywiać ją będzie łaską i błogosławieństwem, a z czasem w święte rozżarzy ją ognisko!

Seweryna Pruszakowa.

PODRÓŻ ZA GRANICĘ

PRZEZ

K. Wł. Woj....

2.

W miesiąc późniéj, przed kuźnią wiejską ruch był wielki: pojazd dworski naprawiano. Buchał płomień wielki, poddymany ogromnym miechem, a kowal z dwoma pomocnikami uwijał się żwawo. Stuk młotów daleko słychać było.

W tę właśnie chwilę nadjechał żyd, Abraham Rudy, bidką o wychudłym koniu, zatrzymał się przed kuźnią, przywiązał go do płota, a sam zsiadłszy zbliżył się do kuźni, pozdrowił znajomego kowala i zaczął się ciekawie rozpytywać o powód takiego ruchu.

— Cóż to tak pilnego, panie majster, że tak się zwijacie? — zapytał uchylając lisiéj czapki.

— At! chciałeś pan Abraham: nasi państwo za parę dni jadą za granicę na całe lato, obręcze popękały na kołach i śrub kilka brakuje, to trzeba się zwijać.

— Czy tym pojazdem pojadą za granicę?

— Gdzie tam, ale jadą do kolei, a to pięć mil opętanych i piekielna jeszcze droga! — odrzekł kowal, odpoczywając nieco ze zmęczenia.

Abraham skłonił znowu lisią czapką, wsiadł na bidkę, ale nie pojechał do dworu, tylko wrócił na drogę wiodącą do miasteczka i gnał co siły.

Nazajutrz prawie od świtu już stały na podwórzu dworskim dwie bryczki i trzy bidki, a ośmiu żydków wystrojonych zasiadło w ganku, oczekując na wyjście pana Henryka. Wkrótce nadjechał i Abraham rudy w tę właśnie chwilę, kiedy Secygniowski przestępując próg sieni, napotkał taką chmarę żydów. Zbladł na ten widok, chciał się cofnąć, ale po krótkiém wahaniu zapytał:

— Czego żądacie?

Po ukłonach grzecznych każdy domagał się swéj należytości i procentów zaległych. Henryk zaprosił ich wszystkich do pokoju.

— Nie będziemy opisywali téj smutnéj sceny, a nieraz powtarzającéj się po naszych dworach wiejskich; powiemy tylko, że zwabiona głośną rozmową pani Klara, z poblizkiego pokoju słyszała wszystko; poznała kłopoty męża: przez szparę drzwi uchylonych ujrzała blade i potem oblane jego oblicze—już dobry jéj anioł stróż podszepnął: „Idź, a pożyczonemi pieniędzmi na podróż za granicę długi spłacicie: spokój i swoboda zawita na długo pod wasze poddasze!“ ale fałszywy wstyd powstrzymał to dobre i szlachetne natchnienie. Już doniosła prezesowéj i sędzinie, że wkrótce jadą do Ostendy i Paryża, a ztąd do Londynu i Szkocji; jakże się cofnąć i ze wstydem pozostać w domu całe lato?

Przeszła objadowa pora, a narady i spory trwały jeszcze; nad wieczorem umowa stanęła. Abraham Rudy najprzychylniejszy dla dziedzica Dąbrowy, wziął na siebie spłacenie wszystkich długów, z warunkiem, że obliczone wraz z procentam na summę 46,500 złp., zahypotekuje z procentem po 6 od sta na jego imię, z terminem rocznéj wypłaty. Już księżyc zaświecił, gdy się żydzi rozjechali, Abraham tylko pozostał, ażeby nazajutrz z panem Henrykiem wyjechać do Rejenta, dla zeznania w księgach wieczystych umówionego długu.

Kapitan wyszedł na zwyczajną przechadzkę drogą do wsi i kościołka, odmawiając wieczorne modlitwy. Pod lipami, gdzie stał grobowiec zmarłéj siostry i szwagra, ujrzał jakąś postać, gdy się wychyliła z cienia—poznał Henryka; postępował zwolna powolnym krokiem, a gdy podniósł głowę, ujrzał przy jasnym świetle księżyca oblicze blade i załzawione.

Smutnie westchnął i milczący powrócił do skromnéj izdebki swojéj na folwarku.

3.

Do wsi Dąbrowy należał oddzielny, z piętnastu włók pszennéj gleby folwark zwany *Ustronie.* W skromnym, pod słomianym dachem dworku, dawniéj mieszkał ekonom. Położenie piękne i prawdziwie wiejskie, kilka starych lip i dąb rosochaty, z ogródkiem małym, w którym dochowała się część starego szpaleru, biegnąca środkiem jego struga czystéj wody, stanowiła na polach granicę od wsi Dąbrowy; wszystko nadawało szczególny powab téj małéj osadzie. Sześciu zagrodników mieszkało po drugiéj stronie drogi wiodącéj do gościńca.

Piękność miejsca, jakiś szczególny urok nieraz wabił tu i Klarę i Henryka. Często wychodzili na przechadzkę w pierwszym roku pobrania, a usiadłszy pod cieniem lip starych, napawali się balsamiczną wonią rozlaną w powietrzu, radowali rozległemi widokami, jakie się z tego wzgórza na daleką okolicę rozwijały.

Czas szybko biegnie. W tydzień po opisanéj scenie, państwo Secygniowscy wyruszyli w zamierzoną podróż. Pani Klara jaśniała radością, nie umiała dość wynaleść wyrazów na okazanie swéj wdzięczności dla męża, który z wielkiém wzruszeniem ściskał poczciwego kapitana.

— Zostawiamy kochanego wujaszka na gospodarstwie, — mówiła Klara wesoło; — przywiozę pięknego gościńca.

Henryk doręczył mu plik papierów:

— Z nich mój drogi opiekunie i przyjacielu dowiész się o wszystkiém.

Staremu łzy się zakręciły w oczach przy pożegnaniu; ukrył je, aby radości pani Klary nie zasępić, ale gdy pojazd ich zniknął mu z oczu, poszedł do oficyny, usiadł w izdebce swéj, rozpieczętował zostawione papiery i zaczął uważnie czytać. W miarę, im więcéj się rozczytywał, tym bardziéj wybijało na twarz jego zoraną zmarszczkami i bliznami niemałe wzruszenie.

— Szalony! zgubiony! — zawołał uderzając ręką o stół z gniewem: — widział przepaść i rzucił się w nią ochotnie!

Powstał, przeszedł się kilka razy po izdebce, znowu usiadł i nanowo odczytywał papiery, gdy wypadł z nich list Henryka z nadpisem: „do kochanego mego wuja i przyjaciela.“

Rozerwał pieczątkę i przeczytał następne słowa.

„Drogi mój wujciu! widzę twoje oblicze surowe i groźne, gdyś przejrzał papiery wszystkie. Wiem dobrze, że już nie masz dla mnie ratunku: żadna praca, żadne poświęcenie nie potrafi ocalić. Ale nie miałem siły odmówić gorącym prośbom mojéj Klary, którą kocham nad życie. Mój przyjacielu, mój drogi opiekunie, daruj mi i przebacz tę słabość. Wiem, że trzeba stracić Dąbrowę, gniazdo rodzinne, gdziem się urodził, gdzie moi najdrożsi mieszkali rodzice; uratuj co możesz, a lepiéj ode mnie to potrafisz. Wyjeżdżam ze złamaném sercem, z boleścią w sercu, z zamąconemi myślami. Smutne widmo przyszłości straszy mnie i trwoży, może mnie opuści na obcéj ziemi! Ale ją chociaż na te kilka miesięcy uszczęśliwię; jéj rozjaśnione i radosne oblicze da mi spokój pożądany. Czuwaj nad wszystkiém, jak nad swoją własnością; dołączam urzędową plenipotencją, a co zrobisz, uznam

za dobre, tylko kochaj, kochaj swego biednego Henryka!“

Kapitan zmiękł wielce po przeczytaniu tego listu, a przewracając napowrót papiery, czytał objaśnienia najdokładniejsze, przez Henryka podane; wstawał, przechadzał się, i w tym niepokoju mówił przerwami, jakby się przed kim uskarżał.

— Szaleniec, za 20,000 pożyczonych, zahypotekował trzydzieści!... 46,000 z górą Abrahamowi, to już blizko osiemdziesiąt. Zginął, powiadam, zginął bez ratunku. Co ja zrobię, co ja pomogę!

Ten niepokój mieszał mu myśli, dławił w piersiach. Dopiero nad wieczorem, gdy wyszedł na zwykłą przechadzkę, po modlitwie, spokojniéj zaczął dumać, kiedy wszedł stary ekonom, od lat dwudziestu wierny sługa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł siwy wąsacz oddając pokłon.

— Na wieki wieków Amen! — odrzekł kapitan, — cóż tam poczciwy Macieju słychać?

— W polu wszystko dobrze, wielmożny panie! Nie pamiętam takiego urodzaju na jaki się zanosi, jeżeli Bóg gradu ustrzeże i da wszystko zebrać szczęśliwie. Przenica taka, że wąż się nie prześliźnie; żyto jak morze faluje; jarzyna w pas, panie; a potrawu będziemy mieli może więcéj niż zebraliśmy siana.

— To dobrze, to dobrze, — mówił po chwili kapitan, wychodząc z głębokiego zamyślenia, jakby orzeźwiał temi wiadomościami. — A cóż słychać w Ustroni.

— I tam wielmożny panie jeszcze piękniejszy urodzaj: toć to folwarczek by złote jabłko, jest i łąka i mąka, i ryby i grzyby.

— Wszystko Bóg dobry daje mój Macieju, tylko niekażdemu człowiekowi daje statku, rozumu i pracy.

Stary Maciéj wyłupił oczy na kapitana, biorąc to za przymówkę do siebie; ale gdy ujrzał jak zawsze spokojne i łagodne jego oblicze, otrzymawszy dyspozycje na roboty jutrzejsze, spokojny wrócił do siebie.

Żniwa ukończył kapitan szczęśliwie: urodzaj był niesłychany, jak dobrze wywróżył stary ekonom. Stodoły nie mogły objąć zboża, trzeba było brogi stawiać. Abraham Rudy zakupił pszenicę i z góry zapłacił: czém zaspokoił kapitan zaległe podatki i procenta Towarzystwu Kredytowemu i Bankowi, oraz należytości wszystkie domownikom i czeladzi. Za sprzedaż żyta, jęczmienia, grochu, prosa, rzepaku i gryki zebrał do piętnastu tysięcy; ale cóż to znaczyło wobec tak ogromnego długu i potrzeb zbytkowych młodych małżonków.

Henryk pisał z Ostendy, z Paryża; listy były krótkie, ale pełne przywiązania do kapitana i tęsknoty za krajem. Ostatni list otrzymał z Edynburga, w którym stanowczo donosił, że na zimę wracają do Paryża, bo nie ma odwagi na nowe kłopoty; że pomimo tęsknoty, po naradzie z żoną, zapewne wyjadą do Włoch, i w Rzymie poczekają, aż się ich los rozwiąże, który w ręce „ukochanego wujcia składają.“

Stary targnąwszy z gniewem wąsy i pomruknąwszy: „głupi, głupi!“ zawołał ekonoma Macieja i długą z nim miał naradę.

W jesieni zaczął częściéj zaglądać do folwarczku Ustroni: dworek starannie odnowił, przybudował parę pokoi, wystawił w pobliżu oficynę, spichlerz, stare stodoły i oborę podźwignął, a doglądając cieśli i stolarzy, siadywał pod cieniem ogromnego dębu, i w głębokiém zamyśleniu patrzył na ozdobny dwór w Dąbrowie.

Nastała wczesna zima: śnieg ze świętym Marcinem upadłszy gęsty, białym kobiercem pokrył pola i łąki; sanna wyborna trwała przez Grudzień, Styczeń i Luty, dociągnęła niemal do połowy Marca. Kapitan nie próżnował i wtedy. W lasach Dąbrowy ścinał sosny i dęby w ozaczonych porębach i sprowadzał do Ustroni; pani Maciejowa, żona ekonoma, na ucho powiedziała karbowéj, a ta pod sekretem babom wiejskim. że się zamyśla żenić pan kapitan, i dlatego folwark w Ustroni tak ozdabia i zapomaga.

Z wiosną, przy zajęciu gospodarskiém, jak dawniéj w Dąbrowie, codzień nawiedzał Ustronie: nie było tygodnia, żeby fury nie dowoziły albo co ze sprzętów Dąbrowy, to zapaśnego siana i słomy, to wyborowy przepędzano inwentarz. Skromny dworek przystrajał się coraz więcéj: a ogroódek okalający go wieńcem przyszedł do niepamiętnego ładu i porządku. Przed Świętym Janem folwark w Ustroni do niepoznania się zmienił i zamożniał. Stały brogi słomy i kilka stogów siana, zanim rozpoczęto nową kośbę.

Listy jakie odbierał, odczytywał kapitan zawsze z zachmurzonėm czołem. Teraz, gdy przyniesiono mu z poczty, zaledwie nań rzucił okiem, zerwał się ze stołka i krzyknął gniewny:

— Znowu pieniędzy! już stracili 20,000! O marnotrawcy i zbytkownicy!

Ale po tym wybuchu, gdy się nieco uspokoił, odczytał list kilka razy, a przywoławszy ekonoma, kazał przygotować nazajutrz bryczkę, bo wyjeżdża do miasta.

Jakoż z zebranych dochodów przywiózł 6,000 złp. i pocztą posłał, z tém tylko w krótkich słowach zastrzeżeniem, że to jest ostatnia pomoc, jaką może

im przesłać z gospodarstwa i ciężkiéj koło niego pracy.

Nadszedł czas fatalny, przewidziany przez Henryka: zażądano zwrotu summ hypotekowanych, a gdy te wypłaconemi nie zostały, kiedy kapitan po naradzie z przyjacielem swym prawnikiem, żadnych kroków nie czynił, wystawiono na publiczną licytację wieś Dąbrowę i sprzedano. Długi wszystkie opłacił nowy właściciel; posag pani Klary nie tylko w całości uratowano, ale nabywca złożył w Banku jeszcze 20,000 złp. w depozycie, jako resztę summy szacunkowéj.

Kapitan obecny licytacji, westchnął boleśnie, łza mu się zakręciła w oku, kiedy ująwszy kij w rękę, obejrzał pustą swoją izdebkę, pożegnał stojącą na podwórzu smutną gromadę włościan, co go żegnali całując ręce jego i błogosławiąc.

Były to pierwsze dni Września: kapitan wróciwszy do Ustronia, napisał tylko te słowa w liście do Henryka:

„Gniazdo twojéj rodziny sprzedano, ocalone Ustronie; wracajcie do kraju, bo czas wielki pracy i pokuty!"

W parę tygodni otrzymał z Rzymu odpowiedź, że za miesiąc wraca z żoną; oznaczył dzień i dołączył prośbę, aby konie czekały przy stacji kolei żelaznéj.

Kapitan cały dzień uwijał się po polu: urodzaj był i tego roku wielki; to też nie tylko stodoły napełnił, ale i brogami ostawił je w około. Wysłał konie z pojazdem na dzień oznaczony, i spokojniejszy znacznie, oczekiwał powrotu Secygniowskich.

Nazajutrz, równo ze świtem już był na nogach: ścieżki w pięknym ogrodzie wysypano świeżym piaskiem, pod lipami i dębem ustawiono ławeczki, nad któremi sam stary wojak pracował; uprzątniono podwórze. Kiedy kapitan ujrzał wszystko w należytym porządku, przeszedł się po skromnych pokoikach folwarku, gdzie przeniósł sprzęty i meble z dworu Dąbrowickiego; wydał staréj gospodyni polecenie przygotowania obfitego objadu, i ruszył z kijem w ręku naprzeciw siostrzeńcom. Zatrzymał się na rozstajnéj drodze pod krzyżem, usiadł zmęczony, otarł pot z uznojonego czoła i drżącym ze wzruszenia głosem zaczął śpiewać pieśń z lat dziecińśtwa:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu!"

Droga była piaszczysta; starzec tak zatonął w pobożnym śpiewie, że nie usłyszał jak stanął w pobliżu pojazd, a z niego wyskoczyli Henryk i Klara, jak biegli spiesznie i u nóg jego uklękli.

Kapitan ocucony z marzenia, wyciągnął do nich ręce, ściskał, całował i płakał.

— Dobrze żeście przecie wrócili moje dzieci, — wyrzekł smutno; — starość gniecie, trzeba pójść na apel Boski, gdzie tylu się już moich towarzyszy broni stawiło. Mnie tam czas, i czas wielki!

Wsiedli do pojazdu, i w milczeniu załzawioném zajechali na podwórze Ustronia, gdzie na progu folwarku ubożuchnego przyjęła ich chlebem i solą Wawrzeńcowa, stara gospodyni jeszcze rodziców Henryka.

Jakież było zadziwienie obojga małżonków, gdy ujrzeli wszystkie swoje sprzęty i meble w dawnym ustawione porządku, gdy wprowadził ich kapitan do dwóch obszernych pokojów, które przybudował.

— O mój drogi i kochany wujciu! — zawołała Klara, składając jak do modlitwy białe swoje rączki, — czémże ci wynagrodzimy, jak odwdzięczymy za wszystko!

Wieczorem, po obejrzeniu ogrodu i gospodarstwa, gdy odpoczywał kapitan w oficynie nowéj i w takiéj saméj skromnéj izdebce jak w Dąbrowie, wszedł nieśmiało Henryk i zastał wuja czytającego.

— Cóż-to za książka, kochany wujciu, co tak zajęła twoją uwagę?

— Czytam mój Henryku mędrca polskiego „Przysłowia Andrzeja M. Fredry"; i zastałeś mnie na tych jego słowach, przeczytaj.

Henryk wziął książkę i czytał:

„Więcéj występków z obcych krajów wywozimy, niżeli nauki; więcéj lekkosci i miękkości, niżeli grzeczności, drogo więc opłacając przejażdżkę, któréjby się raczéj odkupić potrzeba."

Smutnie opuścił głowę na piersi i milczał. Starzec po chwili zbliżył się do niego, uścisnął rękę i wymówił zcicha, chodź ze mną.

Wyszli na podwórze pod lipy i usiedli na ławce. Księżyc jasnym promieniem rozświecał całą okolicę przecudnie.

— Z tego miejsca, mój Henryku, — rzekł smutnie kapitan, — widać było jak na dłoni dwór w Dąbrowie: gniazdo twoje rodzinne, gdzie się twoi przodkowie rodzili i umierali, gdzieś przyszedł na świat, powitany łzami radości czcigodnego ojca. Straciłeś je niebacznie: tam obcy człowiek panuje. Chciałem ci oszczędzić smutnego i widoku i przypomnienia: sam pracowałem; przeszłéj jeszcze jesieni zasadziłem klomb szeroki, aby zasłaniał przed oczyma twemi ten stary dwór Dąbrowy! Kiedy mnie nie będzie na téj Bożéj ziemi, — mówił starzec coraz rzewniejszym głosem, — niech ci te klomby i to Ustronie przypomni tego, co cię kochał jak brata, jak syna; co bolał nad twemi błędami, ale wierzył w szlachetne serce twoje. Został ci ten piękny kawał ziemi, zostały ci chociaż niewielkie kapitały, cały posag twéj żony; przy pracy i skro-

mności, to już początek wielki: ale trzeba mój Henryku pracy, wytrwania, i pomocy Bożéj wzywaj w tém zawsze!

Kiedy Henryk do głębi wzruszony, całował drżące ręce kapitana, w tę chwilę wysunęła się z za lipy wiotka postać Klary, skromnie przybranéj.

— Słyszałam wszystko, — mówiła załzawionym głosem, — i czuję jak wielki był mój grzech, jak smutne następstwa. Ale wierzysz wujciu kochany w szczerą poprawę?

A gdy starzec milczał, ująwszy jego ręce i opierając piękną główkę o jego ramię:

— O wierz mi, wierz szczerze; pracą całego życia wynagrodzę tę chwilę obłędu. Bóg dobry doda mocy, a modlitwa codzienna wspierać będzie!

— Wierzę ci, wierzę, kochana Klarciu, bo nasza Polka nigdy nie wezwała Boga nadaremnie; a w modlitwie poczerpnie potrzebne siły i wytrwanie. Wracajmy do skromnego dworku, przy wesołém ognisku domowém odetchnę teraz z wami spokojny i szczęśliwy.

W kilka lat późniéj wjechał na dzielnym gniadoszu młody Wacław, towarzysz szkolny Henryka, który w pobliżu objął wioskę po swym stryju. Był śliczny poranek czerwcowy, woń balsamiczna napełniała powietrze. Wacław nie mógł się dość napatrzéć piękności miejsca i owéj staranności, co w takim porządku i z takim ładem utrzymywała całe podwórze i ogród, który okalał skromny dworeczek. Przywiązał konia u płota, a sam nie widząc nikogo, wszedł do sieni, a z niéj do pierwszego pokoju.

Jakiż go widok malowniczy uderzył. Na wielkim krześle siedział starzec jak gołąb siwy i strugał szabelkę drewnianą, u nóg jego czteroletni siedział chłopczyk, z włosem jak len, twarzyczką pełną i rumianą, oczy habrowe miał zwrócone na dziadka, jakby oczekiwał końca jego pracy. Klara, z miłością matki, wsparta na ramieniu męża, spoglądała na dziecinę, a Henryk trzymał ozdobnie oprawną książeczkę i kończył czytanie jakiéjś poezji. Pierwszy Henryk spostrzegł gościa: rzucił się w jego objęcia i przedstawił jako dawnego przyjaciela żonie i kapitanowi.

— Cóż to czytałeś mój Henryku? — zapytał biorąc książkę do ręku.

— To dla nas, nie dla ciebie, mój bracie, jest to przecudna Kornelego Ujejskiego sielanka.

— Dlaczegóż nie dla mnie, wszak ja jestem mężem i ojcem.

— Więc przeczytaj! — a Wacław harmonijnym głosem zaczął czytać:

„Ozłocił Pan wspaniale moje ściany liche,
Bo zesłał mi dzieciątko z nieba—światło ciche:
Jedno dziecię! a weszło z niém takie wesele,
Jak kiedy w dom szlachecki zjedzie gości wiele,
I napełnia go wrzawą, uczciwą, świąteczną,
A sami się zespolą miłością serdeczną,
I tak się rozkochają w tém braterskiém gnieździe,
Że starcy jak pisklęta, kwilą przy rozjeździe.
Błogosławieństwem dom mój nawiedził widomém
Błyszczący anioł, co rzekł: „Pokój z twoim domem!
I zaledwie głos przebrzmiał, to nizka ta chata
Swą strzechę, jak ramiona dziękczynne, rozplata,
I podniósłszy je w górę, swą małość przyczynia,
Aż się stała modlitwą wielka jak świątynia:
I zaraz w niéj przybrało wszystko pozór święty.
Radosném przemówiły słowem nieme sprzęty,
Wszystkie skazy ponikły, kąty wyjaśniały,
I cedrami zapachły dębowe powały.
Każde usta dobroci pełne, myśli bielsze,
A piosenki czeladzi co wieczór weselsze.
I od kiedy w niéj mieszka niewiniątko Boże,
Pierwsze blaski rzucają na tę chatę, zorze,
Czeremcha więcéj kwiatu na jéj dachy sypie,
Słodka muzyka pszczółek ciągle gra na lepie,
Gołębie lubią teraz na podwórku siadać,
I swe skrzydła tęczowe do słońca rozkładać.
A jaskółki przez okno wglądają ciekawe,
A ja chodzę jak senny, wielbię pańską sprawę,
I upajam się kwiecia i gołębi bielą,
I tą z lipy na lipę lecącą kapelą,
I tém światłem ścian moich i wonnością pował...
O! jak Ty, Panie! ducha mego rozradował!“

Skończył Wacław, zwrócił się do Henryka i rzekł z uczuciem:

— Gdzie taka poezja napawa rozkoszą serca, tam musi być szczęście!

— O tak, jesteśmy szczęśliwi! — zawołała Klara, a winniśmy to naszemu dobroczyńcy! — I to mówiąc, przycisnęła drżącą rękę starego kapitana do ust swoich.

RANEK I MŁODOŚĆ.

Ranek wiosenny—o jak przecudnie!
Cicho i jasno, rzeźwo i wonnie—
Niechaj nie spieszy skwarne południe,
Nie chcę wieczoru—bo tak ochłodnie!
Daj Boże ranek dozgonnie!

W szesnastym roku—o jak przecudnie!
Cicho i jasno, rzeźwo i wonnie—
Urok ten spali życia południe,
Zanim z latami wszystko ochłodnie—
Daj Boże młodość dozgonnie!

Lecz lata biegą—starzéć się trzeba,
Złożym swe kości do ojców kości—
Życiem i słowem błagajmy Nieba,
Jak powszedniego prosimy chleba—
Dozgonnéj uczuć młodości!

Jan Prusinowski.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

— Na konkursowych ostatecznych examinach w Szkole cesarskiéj dróg i mostów, dwaj nasi rodacy panowie Bolesław Smagłowski i Miłosz Królikowski, uznani zostali godnymi dyplomn inżynierów. Dyplomy te potwierdzone zostały w dniu 25 Maja przez Ministra prac publicznych. Z przyjemnością donoszę o tym fakcie, stanowi on bowiem niepospolitą zasługę i zaszczytny wieniec zwycięztwa, odniesiony przez Polaków w stolicy wszechświatła i wszech-umiejętności. Kto wié, ile trudności doznaje cudzoziemiec, przyzwyczajony do swego języka, aby oswoić się z takim ogromem teoretycznych i praktycznych wiadomości, w mozolnym zawodzie nauk ścisłych; ile pracy i pilności potrzeba, aby wytrzymać współzawodnictwo z młodymi ludźmi krajowcami, magistrami i doktorami matematyki, uczniami szkoły politechnicznéj i najzdolniejszymi oficerami inżynierji całego świata, którzy tu ostatecznie specjalne wykształcenie uzupełnić przyjeżdżają: ten pojmie całą wartość młodych inżynierów naszych, z dyplomem téj szkoły wychodzących. Zasługa panów Królikowskiego i Smagłowskiego, na tych turniejach wiedzy odniesiona, przynosi chlubę naszemu narodowi wśród cudzoziemców, i powinna być w kraju naszym znaną. Wspominając więc o niéj publicznie, niech mi wolno będzie wyrazić życzenie, które dojdzie może wiadomości tych młodych inżynierów, aby nie zapominali, że jeżeli gdzie, to u nas w Polsce zapewne najwięcéj użytecznych prac czeka na ich specjalne znajomości. Budowy kanałów, dróg żelaznych, mostów, fabryk, zakładów mechanicznych, irrygacje i osuszanie łąk, drenowanie pól, nieskończone dostarczą im zajęcie, a dla kraju przyniosą rzeczywiste korzyści. Panowie Królikowski i Smagłowski ponieść winni swe zdolności na użytek dla ojczystego kraju, który aż dotąd mnóstwo nieuzdolnionych i nam obcych różnego rodzaju specjalistów zdziera i exploatuje.

Przebaczcie mi łaskawe Czytelniczki ten ustęp, może cokolwiek niewłaściwy w korrespondencji Waszego paryzkiego Sprawozdawcy, i przyjmijcie go z tém uczuciem, jakie kierowało piszącym:— wszystko, co tylko wybitniéj naszych Rodaków obchodzi, obojętném dla nas być nie może.

Wszak dowiedziałem się tutaj z dzienników krajowych, jak gorliwie i czynnie wychowaniem ludu zajęłyście się obecnie;—to Wam wielki zaszczyt przynosi, i bądźcie przekonane, że świat, to jest wszystkie cywilizowane kraje, z uwielbieniem patrzą na Wasze w tym względzie usiłowania. We Francji, gdzie o Polakach wyrobiła się przez długi czas wysoka i zaszytna opinija, nie ze zdziwieniem bynajmniéj, ale z rozrzewnieniem i przyjemnością Francuzi dowiadują się od czasu do czasu, jak ważny i chlubny podjęłyście dobrowolnie w społeczeństwie obowiązek, przykładając się usilnie do oświaty ludu, zakładania szkółek wiejskich, czytelni publicznych, domów przytułku i prac użytecznych dla dzieci i starców, wydawnictwa użytecznych książek i t. d. W żadnéj może epoce dziejów naszych większéj usługi oddać krajowi nie mogłyście. Chcéjcie więc pomnić na to, że w obowiązkach Obywatelek, w zadaniu wychowania przyszłych pokoleń, podniesienia umysłowo i uzacnienia moralnie klas ludu wiejskiego, które podjęłyście dobrowolnie; nie tylko kraj, ale świat cały zwraca na Was uwagę. Sławny historyk francuzki pan Michelet, kolega niegdyś Mickiewicza w najwyższym zakładzie naukowym (Collège de France), którego miałem przyjemność widzieć tu niedawne w jednym z domów polskich, powiedział te pochlebne dla Was wyrazy. Cytuję dosłownie, aby rzecz niestraciła w tłómaczeniu:

„Toutes les fois qu'il m'est arrivé d'écrire sur les Polonaises, je ne sais pas par quelle intuition je leur prédisais toujours ce sublime rôle d'institutrices du peuple polonais. Aujourd'hui lorsque j'apprends que mes idées commencent à se realiser, je suis ravi non pas de ce que mes prédictions se sont réalisées, mais bien par ce qu'il ne faut jamais désespérer de l'humanité. Oui, l'empressement des dames polonaises dans une oeuvre, aussi dificile que l'éducation du peuple des campagnes, en même temps si nécessaire pour un pays comme le vôtre, forme un spectacle neuf dans la vie des nations et consolant pour un coeur déchiré souvent par de longues et cruelles déceptions." (*).

Jestem upoważniony przez znakomitego męża, który wyrzekł te wyrazy, ponieść je do Waszéj wiadomości.

Czyż nie zaszczytném jest dla Was, łaskawe Czytelniczki, uznanie tak pochlebne Waszego posłannictwa w naszym kraju, przez znanego całemu

---

(*) Kiedykolwiekbądź pisałem o Polkach, nie wiem dlaczego ale przepowiadałem im zawsze, wzniosłe powołanie nauczycielek ludu wiejskiego. Obecnie jestem zachwycony wiadomością, że się spełnia to, o czem niegdyś tylko marzyłem; zachwycenie to nie tyle pochodzi ztąd, że moje widzenie rzeczy było słuszne, ale więcéj dlatego, że nigdy nie należy rozpaczać o ludzkości. Zaprawdę, ta gorliwość Polek w tak trudnéj pracy jak jest nauka wiejskiego ludu, zwłaszcza też w Waszym Kraju, przedstawia nowy obraz życia narodów, pocieszający każde zbolałe serce po długich i okropnych zawodach.

światu historyka, poetę, filozofa, człowieka serca i potężnéj myśli, obrońcy kobiet, któremu płeć piękna cała pomnik wystawićby powinna? Nie zawiedziecie, spodziewam się, przewidzeń i zapowiedni tego zacnego i znakomitego męża.

Słówko z téj okazji dorzucę w przedmiocie uzacnienia i edukacji roboczéj ludności. Tu we Francji towarzystwo Braciszków, niesłusznie i złośliwie nazwanych *Frères ignoratins* (Braciszków nieuków), oddaje nieocenione zasługi krajowi wychowaniem bezpłatnie dzieci rodziców biednych, niemogących płacić za naukę. Korporacja Braciszków wykonywa zakonne śluby czystości i ubóstwa, i bierze za obowiązek powołania swego wychowanie dzieci w zasadach religji i moralności. Rozkłada się ona na kongregacje po dwóch, trzech i więcéj w różnych miejscach, w miastach i na wsiach, ustanawia szkółki i oddaje się z całém zamiłowaniem wychowaniu wyłącznie chłopców z ubogich klas ludu. A ponieważ bezpłatnie a doskonale wywiązuje się z tego zadania, idzie zatém, że żaden nauczyciel tak zwany gminny, a zwykle nieszczodrze od rządu uposażony i potrzebujący od rodziców choćby skromnego wynagrodzenia, walczyć ze szkółkami Braciszków nie jest w możności. Rząd francuzki ocenił już niezaprzeczone usługi, jakie towarzystwo to oddaje narodowi. Ze wszystkich zakładów duchownych i klasztorów, najwięcéj ceni on i proteguje Siostry miłosierdzia i Braciszków poświęcających się wychowaniu dzieci. Zdaje mi się, że podobny zakład u nas w Polsce, zwłaszcza obecnie, gdzie tak mało mamy wiejskich nauczycieli, a gdzie nagła potrzeba ich usług czuć się daje, nad wyraz użyteczną przyniósłby korzyść. Nie dlatego wszakże wspominam o nim, aby go w Polsce założono, wspierano i krzewiono; zrobiłem tę wzmiankę, ponieważ z przepisów i postępowania téj korporacji, mnóstwo wielce pożytecznych i na doświadczeniu opartych zasad ludowéj edukacji, możnaby w Polsce zastosować.

Do szkół elementarnych, utrzymywanych przez Braciszków, przyjmują się dzieci nie prędzéj, jak w lat dziewięć wieku, a zostają w nich najmniéj lat dwa. Praca umysłowa trwa godzin cztery dziennie, resztę czasu poświęcają ćwiczeniom gimnastycznym, stosowanym wyłączie do rozwinięcia budowy ciała malcom wycieńczonym i nadania swobodnych ruchów niezdarnym. Cała większa część wiejskich dzieci wraca do rodziców, dla niesienia im pomocy w zajęciach rolnych. Edukacją elementarną Braciszków Ignorantinów stanowią: nauka katechizmu, czytania, pisania i pierwszych działań arytmetycznych, niezbędnych dla każdego, jakiegokolwiekbądź stanu i wyznania. W wychowaniu początkowém przez korporację Braciszków prowadzoném, przebija się kierunek narodowy, moralny i religijny bez fantastycznéj przesady. We Francji nie ma przymusu oddawania dzieci do szkółek, dlatego też w tutejszym kraju, względnie do innych, obok wielkiéj liczby różnego rodzaju szkółek elementarnych, znajduje się jeszcze mnóstwo osób, ani pisać, ani nawet czytać nieumiejących. W 1860 roku 27,996 uczniów pobierało edukację w 61 liceach czyli gimnazjach rządowych, a 27,985 studentów w 245 kollegjach, z budżetu gmin utrzymywanych. Cztery miljony dzieci płci obojga odbierają edukacją gramatyczną początkową (primaire) w elementarnych szkołach. Przeszło 68,708 dzieci pobiera zupełnie bezpłatną edukację w zakładach Braciszków, o których powyżéj wspomniałem. Statystyka zbrodni w departamentach na najniższym stopniu pod względem naukacji elementarnéj stojących, znaczną przewyżkę na niekorzyść nieumiejących czytać i pisać podaje.

W ogólności, Duchowieństwo we Francji jest potężną dźwignią wyprowadzenia ludu z ciemnoty. Stowarzyszenie Braciszków zajmuje się w wielu miejscach, a zwłaszcza w miastach departamentowych i powiatowych, wyższém wykształceniem dzieci wieśniaków, a nawet przygotowuje zdolniejszych uczniów do examinu *bachellier-es-lettres*, odpowiadającemu naszemu *maturitatis*. Korporacje te w wielu miejscach prowadzą kursa tak zwane *des adultes*; są one wyłącznie użytkowi dorosłych robotników z zaniedbaną edukacją poświęcone, i w godzinach wieczornych, dla dogodności pracujących dzień cały, odbywane. Przy takich kursach zwykle urządzone są gry i rozrywki rozmaite, jak: szachy, kręgle, bilard, gimnastyczne ćwiczenia, zabawki z fizyki, nauka muzyki, choralne śpiewy etc., jak również znajduje się w tym samym gmachu czytelnia z dobranych, użytecznych, moralnych dzieł i dzienników krajowych ułożona. Tym sposobem, na długich wieczorach klassa robocza w czystych, dobrze ogrzanych i opalonych salach znajduje towarzystwo, rozrywkę moralną i przyzwoitą. Kształci się, albo bawi, stosownie do gustu i upodobania; a co najwięcéj, oszczędza małego i niedostatecznego zarobku, z którego skromnie ale przyzwoicie, bez zapożyczania i zastawiania przedmiotów w lombardach (Mont de Pieté) utrzymać się jest w stanie. Są to zakłady, nieoceniony użytek i dobro krajowi przynoszące, które, daj Boże, aby ludność nasza wiejska kiedyś zamiłować chciała i była w możności.

Dodatek do Nru 26 Magazynu Mód.

Warszawa dnia 17 (29) Czerwca 1861 roku.

* * *

Kto chce poznać wszystkie letnie rozkosze miasta, niech choć dzień jeden przepędzi w murach Warszawy, rozpalonych trzydziesto-stopniowym żarem i buchających wyziewami, jakiemi pewno żaden nos zagraniczny nie zachwycał się ani w Paryżu, ani w Londynie. Goniąc przeto za świeżym oddechem i za swobodnym podmuchem wiatru, wyrwałem się na jeden dzionek ze stołecznych aromatów, aby płucom dać folgę, uszom harmonijny śpiew skrzydlatéj rzeszy, a oczom widok obszaru nieba i zieleni pól i lasów. Przez jeden zatém dzionek poiłem się rozkoszą wioski, ale smuciłem widokiem przypalonego żyta, pożółkłych grochów i jęczmionów, i spragnionych deszczu łąk i koniczyn.

— Mój Boże! — rzekłem do towarzyszącego mi włościanina, — tyle pracy, tyle zabiegów, tyle nadziei ludzkiéj marnieje pod skwarem słońca, a tu deszczu jak nie ma tak nie ma.

— Oj! prawda mój kochany panie, — odrzekł towarzysz, — aż serce płacze patrząc na to wszystko, ale złożyliśmy się na nabożeństwo, to może Bóg jako odmieni. Dziedzic nasz dał rubla, niech mu Bóg wynagrodzi; ale ot! z téj wioski co dwór bieleje między drzewiną, to dziedzic sfukał gospodarzy, co poszli do niego ze składką, i nie dał ni grosiczka, tylko obiecał dać wtedy, jak deszcz będzie padał.

Zdumiony i przejęty zgrozą, spojrzałem z niedowierzaniem na włościanina, a ten potrząsając głową mówił daléj:

— Pan nie wierzy takiemu pogaństwu? Ale to prawda, święta prawda: wszystkie wsie okoliczne tylko się trzęsą ze zgrozy, boć przecie Bóg wszystkiém rządzi, i za pogaństwo jednego gotów jeszcze całą naszą okolicę nawiedzić jaką klęską albo nieurodzajem. Ja nie wiem, co ci panowie sobie myślą....

— Przecieć nie wszyscy tacy mój Józefie.

— Ani gadania, że nie wszyscy, ale tacy najprzód wchodzą ludziom na języki, i potém tylko o nich posłuch chodzi między ludźmi, a z tego co idzie? Oto nieprzyjaźń i odłączanie się, a takiéj sprawie Pan Bóg nie może błogosławić. Dlatego też tak wszystko źle na świecie.

Opowiadanie to, niestety aż nadto prawdziwe, wiem że przejmie Was oburzeniem; ale to nie dosyć, dzisiaj czyn taki to występek przeciw wszystkim obowiązkom obywatelskim, co jak zaraza idąc wieścią z ust do ust, z wioski do wioski, wszystkie wieśniacze serca napełnia wstrętem i niszczy to, co z takim trudem i mozołem zdobywacie! Bez kary więc zostawić go nie można, a że znana Wam elementarzowa apostrofa powiada:

Dla młodych dobra jest rózga brzozowa,
Dla starych korbacz, albo wić dębowa,—

niechże więc dla winowajcy tym korbaczem będzie Wasza obojętność, i obojętność Waszych braci, mężów, ojców i synów; niech staną się dla niego wszystkie usta niememi, uszy głuchemi, oczy niewidomemi, a serca kamiennemi aż do upamiętania.

Ale nie same wioski skargi wznoszą podobnego rodzaju. Zapytany jeden z biedniejszych rzemieślników warszawskich, ale człowiek bardzo rozsądny i poczciwy, o muzykę kościelną w kościele ewangelickim, po dwa razy na dochód ubogich wykonaną, odpowiedział:

— Mój panie, u nas tylko bogatym można się bawić w dobroczynność, uboższym zaś zostają tylko dziady pod kościołem. Muzykę bardzo lubię, szczególniéj religijną; dobór numerów w kościele był prześliczny, ale sam bez rodziny nigdzie nie chodzę; a że dom mój składa się z pięciu osób, więc nie podobna mi było zdobyć się na wydatek pięciu rubli, i dlatego do liczby słuchaczów należéć nie mogłem. Wprawdzie drugie miejsce płaciło się pięc złotych, a trzecie dwa, ale klasyfikacja taka podług kieszeni, rzecz to i niemiła i niewłaściwa w domu Bożym. Gdyby bilet wejścia kosztował na wszystkie miejsca dwuzłotówkę, gdyby przedawano ich ograniczoną liczbę z oznaczeniem piętra, niezawodnie muzyka w kościele z dziesięć razy byłaby powtarzaną, i przyniosłaby dwa razy więcéj dochodu, niż to nastąpiło z owych dwu-rublowych zgromadzeń. Tymczasem zaledwie dwa razy się powiodła i to z wielką forsą—i my ubożsi zostaliśmy z niéj wyłączeni....

Czy skarga była słuszną, odwołuję się do Was zacne moje Czytelniczki.

Gazeta Polska w Nrze 150 ogłosiła list do pana Radolińskiego w Borzęciczkach, który dla swéj ważności w całości powtarzamy:

„Panie Hrabio!

Jeżeli każdemu z rodaków dotkliwém było wyczytać w korrespondencjach i pismach publicznych Wielkiego Księztwa Poznańskiego o postępku Pana, jaki swoim wpływem i staraniem dokonałeś, iż dziedziczną polską wieś Borzęciczki, poważyłeś się po niemiecku przezwać Radenz; jakimże dopiero ciężkim żalem wiadomość podobna musiała ścisnąć serca tych, co z tego samego szczepu pochodzą i toż samo nazwisko noszą.

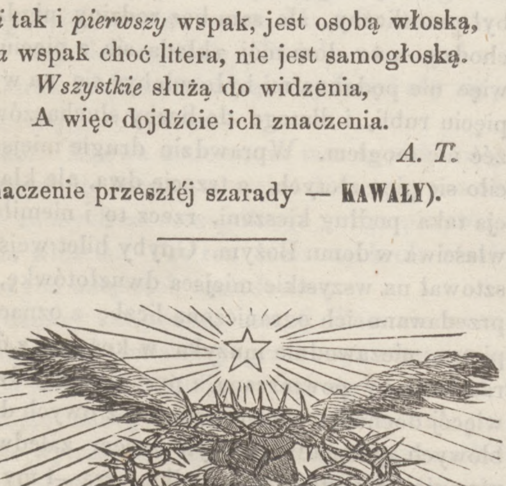
Panie! nie zastanowiłeś się nad wielką odpowiedzialnością, jaką przez ten czyn ściągnąłeś na siebie, i jak srogie złorzeczenia wywołałeś twoich współziomków! Majętność ziemska nie należy do Pana samego, ale do rodu, nie wolno nam więc téj poniewierać, a témbardziéj przekształcać nazwiska obczyzną; zapomniałeś, że w Borzęciczkach Polacy mieszkają, że tam święty kościół polski i kapłan polski; że tam może twoi ojcowie Polacy spoczywają, i że naruszyłeś ich spokój, bo kości swoje złożyli w Borzęciczkach, a nie w Radenz. Przekonaniem jest naszéj rodziny mieszkającéj w Królestwie Polskiém, że po takim dokonanym czynie, Panie Hrabio! nie pozostaje nateraz nic więcéj Ci do zrobienia, jak wyżebrać dla siebie germańskie nazwisko, a zrzec się polskiego, którego szanować nie umiałeś; a o co nawet usilnie prosi w imieniu wszystkich Roman Radoliński ze Zborowa pod Kaliszem w Królestwie Polskiém."

SZARADA.

Trzeci tak i *pierwszy* wspak, jest osobą włoską,
Druga wspak choć litera, nie jest samogłoską.
Wszystkie służą do widzenia,
A więc dojdźcie ich znaczenia.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj szarady — **KAWAŁY**).



Wspominaliśmy już nieraz, że prostota i powaga stanowi główną cechę ubioru dzisiejszego. Zprawdziwą radością widziemy, że zamożne nawet rodziny w wyprawach dawanych córkom, trzymają się wiernie téj zasady. Widzieliśmy w tych dniach kilka sukien przygotowanych do wyprawy w magazynach panien Kuhnke; żadna z nich nie raziła zbytkiem ani przesadą; wszystkie zalecały się tylko prawdziwie dobrym gustem i wielką starannością w robocie.

Ślubna suknia biała organtynowa, miała u dołu pięć falbanek szerokich na ćwierć łokcia, z prostym obrąbkiem; dwie najwyżéj umieszczone falbanki zawracały się w górę od frontu, tworząc otwartą tunikę. Stanik wysoki był na plecach, z przodu wycięty czworograniasto, marszczony dokoła, a w szyi wygarnirowany wązką koronką *valencienne.* Otaczała go w pasie szarfa z białéj wstążki z końcami. Rękawy szerokie długie, ozdobione były z brzega dwoma falbankami i podpięte kokardą białą.

Wieniec z maleńkich różyczek białych i kwiatu pomarańczowego, złożony z dwóch części: djademu i girlandki wkoło warkocza, uzupełniał to świeże ubranie, wraz z welonem długim burnusowym z illuzji.

Najstrojniejsza z sukien była czaana *poult de soie,* wyszyta u dołu w śpiczaste zęby plisą aksamitną, szeroką na pół ćwierci łokcia. W każdym zębie w górze, równie jak i nad tymże zębem, dane były naprzeciw siebie dwie rozety, złożone z aksamitnego guzika, ogarnirowanego koronką. Stanik miał klapeczki wyłożone aksamitem, poniżéj zapinał się na dwa rzędy aksamitnych guzików; otaczał go pasek aksamitny z szeroką szarfą, zakończoną rzędem fałdowanéj koronki. Rękawy wogóle fałdowane, niezbyt szerokie, ozdobione były z wierzchu klapką aksamitną i rozetką.

Szlafroczek fularowy popielaty *chinée,* w rzucik z ciemniejszych kwadracików, plecy miał marszczone, ściągane na tasiemki, które można rozpuszczać według woli, przody spódnicy roztwierane, obłożone czarną materją, u dołu szeroką przeszło na ćwierć łokcia, zwężającą się wyżéj. Rękawy pagody objęte były także materją, równie jak pelerynka, z tyłu tworząca chusteczkę, z przodu ścięta czworograniasto. Pod ten szlafroczek szła spódniczka półbatystowa, nagarnirowana z przodu dwunastoma haftowanemi falbankami jedna nad drugą. Rękawki pod spód składały się z bufy półbatystowéj, z mankietem wyłożonym i oszytym podwójną falbanką haftowaną; kołnierzyk maleńki tak samo był garnirowany dokoła.

Suknia z czarnego bareżu angielskiago miała u dołu garnirunek z klinów jedwabnych, otoczonych falbanką bareżową, w łokciowych od siebie

odstępach. O takiém przybraniu mówililiśmy już w jednym z poprzednich numerów pisma naszego. Stanik *à l'Imperatrice*, fałdowany wkoło do karczka i zapinany z przodu na guziki, przepasany był tak zwanym pasem polskim z ciężkiéj wstążki, zakończonéj szmuklerską frendzlą u dołu. Rękawy składały się z dwóch buf, przewiązanych kokardą z końcami i mankieta obcisłego u ręki, spiętego na kilka guzików.

Sliczny był także szlafroczek biały półbatystowy puszczany. U dołu miał tylko szeroki obrąb; przód cały naszyty był w poprzeczne zakładeczki na palec; z każdego boku szły wzdłuż spódniczki trzy haftowane falbanki; ostatnie z nich od brzega przeciągały się na stanik i dochodziły aż do ramion. Plecy szlafroczka były marszczone. Rękawy składały się z jednéj bufy i obcisłego mankieta, zapiętego na sześć perłowych guzików.

Do tego szlafroczka, dodana była mantyla w formie chustki podwójnéj: wierzchnią jéj część zakończała wązka falbanka, spódnicę zaś szeroki wolant haftowany.

Podobało nam się także bardzo ubranie neglizowe, z żaknotu czarnego w białe wązkie paseczki. Spódniczka żadnego nie miała garnirunku, tylko szeroki obrąb; na nią szedł paletot, z tyłu wszyty w karczek i przyciągany w stanie na tasiemkę. Przody były gładkie, jak zwykle u paletotów. Zdobiła go pelerynka w formie chusteczki, objęta wązką falbanką, zapinana z przodu na guziki.

Czepeczki do téj wyprawy zalecały się równym gustem. Najstrojniejszy ubiorek składał się z barby czarnéj koronkowéj, upiętéj z boku na kokardę, i z pęczka czarnych fijołków z drugiéj strony.

Inne ubranie ze wstążek czarnych, skręcanych w kształcie wieńca, z długiemi końcami z tyłu, przybrane było nad czołem bukiecikiem z jagód czarnych. Takiż sam bukiecik przytwierdzał końce z tyłu.

Czepeczek neglizowy w rodzaju chłopki, miał denko czarne w drobny rzucik, na inném z białéj illuzji. Obszyty był białą i czarną blondynką; w środku spadała kokarda czarna z końcami.

W magazynie pana Sobolewskiego widzieliśmy ładny zbiór biżuterji z ławy. Między innemi są broszki okrągłe wielkie z guzikami stosownemi do rękawów; garnitur kosztuje złp. 18. Dostanie także broszek okrągłych po złp. 6 gr. 20. Ładne są też śpilki do czepeczków, złozone z dwóch przewleczonych przez siebie pierścieni; para kosztuje złp. 1 gr. 20. Łańcuszki do zegarków wynoszą od 15 do 25 złp. Guziki do rękawków od dwóch do 4 złp., stosownie do wielkości i wyrobienia. Broszki wysadzane białemi perełkami, kosztują od 15 do 18 złp.

Podobały nam się bardzo w tymże magazynie kapelusze okrągłe, zwane *Amazone*, ze słomy angielskiéj czarnéj, z rondem odwiniętém w górę i znowu opuszczonėm na dół. Brzeg ronda objęty aksamitem lub *poult de soie* czarném; główną ozdobę kapelusza stanowi długie strusie pióro.

Nowości Zagraniczne.

Le caprice.—Moda pasmanterji coraz się bardziéj upowszechnia: niektóre z nich delikatnością wyrównywają gipiurze. W domu Richenet Bayard dostanie w tym rodzaju rozmaitych ozdób do sukien: są naprzykład słupy do przystrojenia przednich brytów, albo u dołu sukni, pelerynki, berty, epolety czyli żokeje z odpowiedniém ubraniem do rękawów; są także torsadki do zakończenia falbanek w górze, palmy, węzły, rozety otoczone gipiurą, guziki w rozmaitym guście i wiele innych rzeczy w tym rodzaju.

Staniki do sukien, zwłaszcza dla panien, robią wycięte czworograniasto. Rękawy na upały najwłaściwsze otwarte u ręki, w górze trochę zwężone. Do bareżowych sukien dają rękawy złożone z pięciu bufek. Garnirują suknie plisami z materji, pasmantarją albo wązkiemi falbankami.

Suknie popielate, haftowane czarną włóczką, wielkiéj używają wziętości. Tak samo haftują suknie z piki angielskiéj.

Falbany do sukien dają w rozmaity sposób: liczba ich zmienia się od siedmiu do dwunastu. Niekiedy bywa u dołu szeroki wolant, a nad nim kilka wązkich falbanek; dają także po trzy w pewnych odstępach, a między niemi plisy jedwabne.

Do wyciętych staników noszą bardzo chusteczki ozdobione ruszami, koronką lub haftem. Chustki wielkie białe muszlinowe, lub zastosowane do sukni, używają wielkiego powodzenia.

Co do okrywek, paletoty czarne jedwabne powszechnie są w tym roku przyjęte; dla kobiet młodych i szczupłych najwłaściwsze z trzema szwami z tyłu, odznaczające figurę w stanie.

Szeroki *paletot-sac* wełniany, lub burnus arabski, bardzo właściwe na rano lub do podróży.

Do ubrania ładnie odpowiada mantylka lub chustka koronkowa czarna.

Powiedzmy jeszcze kilka słów o modach dziecinnych; przytoczę tu parę ładnych sukienek, które w tych czasach widziałam.

Sukienka muszlinkowa lila stanik miała wycięty czworograniasto, wygarnirowany w górze podwójną wyłożoną falbanką, Rękawki krótkie bufowane. U dołu kilka wązkich falbaneczek z obrąbkiem.

Sukienka biała pikowa, haftowana u dołu czarną włóczką, stanik miała gładki z czworograniastym wykrojem; rękawki otwarte.

Kapelusik *Tudor* słomkowy z długiém piórem, ładnie dopełniał ubrania.

Wszystkie dzieci, nie wyłączając niemowląt, noszą długie szarfy z końcami. Dla starszych dziewczynek zalecamy bardzo szelki ze wstążki, dodane do szarfy.

Zjawiła się nowa odmienna forma kapelusika *Tudor*, z rondem na dół opuszczoném; dobre to od słońca, alę nieładnie wygląda.

Dla chłopczyków przyjęte są paletociki zapinane z boku i kapelusiki *Tudor* z kitką z kapłonich piórek.

Dla dziewcząt najwłaściwszy paletocik czarny jedwabny, lub popielaty wełniany.

Kapelusze dla starszych osób na rano, powszechnie używane ze słomy brukselskiéj lub włosienia. Do stroju zalecamy krepowe albo tiulowe.

O UBIORACH MĘZKICH.

Jak cię widzą, tak cię piszą! mówi powszechnie znane przysłowie i stosuje się najczęściéj do ubrania. Są bowiem ludzie, co nader trafne wyciągnąć pofrafią wnioski o charakterze, obyczajach, nawet sposobie myślenia osób pojedynczych lub całego społeczeństwa, jedynie z jego powierzchowności, z jego ubrania. Naturalnie, można się tu pomylić, bo na empiryzmie oparta prawda, niejest bezwzględną prawdą; a wiadomo przytém, że *nulla regula sine exceptione*. Jeżeli rodzaj zajęcia, spożywane nawet pokarmy wpływają na naszą zewnętrzność, cóż więc dziwnego, że usposobienie nasze moralne najlepiéj uwydatnia ubranie,—i w saméj rzeczy: z czystości i wdzięku naturalnego w zestawieniu właściwych, harmonizujących z sobą kolorów, odróżniamy człowieka porządnego od nielubiącego porządku; człowieka mającego wykształcone poczucie piękna, od niesmacznego wykwintnisia, powodującego się pawią próżnością.

Postępując oględnie i z taktem, można pogodzić wymagania mody europejskiéj, z moralnemi potrzebami miejscowemi.

Mody warszawskie obecnle jeszcze nie są ustalone, co właśnie największą jest ich zaletą, gdyż każdy ubiera się według upodobania i gustu, możności i wygody, nie naśladując niewolniczo żurnalu paryzkiego.

Oto niektóre szczegóły, dotyczące ubrania męzkiego;—nie są one żadnym nieodwołalnym wyrokiem mody, lecz jéj swobodnym, zmieniającym się co chwila objawem. Kolor czarny w ubraniu męzkiém, tak samo jak w damskiém, jest przemagającym; wszelka przy nim pstrocizna, jako niezgodna z właściwie pojętym smakiem estetycznym, dziwnie i rażąco wygląda.

Noszone są czarne o szerokich rękawach *tużurki,* oraz *pantalony* krojem francuzkim, koloru popielatego lub czarnego.

Do czamarek używają także pantalonów krótkich, lecz wtedy biorą się *buty* ze sztylpami lakierowanemi.

Zasługują na uwagę, jako letnie i wygodne ubranie *bluzy* męzkie fałdziste, obszerne z kamlotu, rypsu, tybetu, a nawet z dymy czarnéj robione; są one wszyte w karczek gładki przy szyi, ściągają się pasem szerokim lakierowanym, albo téż z tego samego materjału co bluza, lecz zapinającego się na odpowiednie klamry. Rękawy składają się z dużéj bufy przyfałdowanéj przy ramieniu, i są wszyte w pasek przy ręku.

Na okrycia zas wierzchnie służą obszerne z madrasu lub kortu letniego odzienia w kształcie paltosaków, z kołnierzem małym stojącym, zapinającym się pod szyją na haftkę. Takie okrycia noszą się zwykle zarzucone tylko na ramiona, ubezpieczając spodnie ubranie od kurzu i drobnego deszczu.

Kamizelki, tak jak dawniéj noszą jednorzędne z klapami krótkiemi, wykładającemi się. Robią się one z rypsów czarnych lub innych materyj w kratki czarne.

Rękawiczki są noszone czarne z wyszyciami, odmiennego koloru.

Kapelusze i czapki różnych kształtów napotykamy. Z kapeluszy najwięcéj są używane węgierskie, bądź z felpy czarnéj, bądź ryżowe, lub góralskie z główką nizką, a szerokiemi wyginającemi się do woli skrzydłami. Sprowadzone z Paryża, widzieliśmy kapelusze z główką wysoką zaokrągloną, a skrzydłami sztywnemi, równemi, prawie horyzontalnie ułożonemi. Używają się także dawnym fasonem ryżowe i panama; lecz jakiegokolwiek kształtu są kapelusze, przystrajają się szerokiemi czarnemi wstęgami, najczęściéj z końcami spadającemi. Czapki lekkie fasonu jak najprostszego z ceraty całe lub mające pasek z jedwabnéj materji, są wielce w użyciu; również leciuchne z czarnéj materji, albo korciku czarnego w drobne centki białe. Pod względem wyrobienia czapek, fabrykanci Warszawy niesłychany uczynili postęp, rywalizując z sobą, starają się przewyższyć jeden drugiego lekkością, elegancją i samym pomysłem, tak iż nasze czapki obecnie wyrównywają najlepszym paryzkim.

Koszule białe płócienne z angielskim lub wykładanym kołnierzem, starannie tylko odrobione, należą zawszę do najwięcéj eleganckich, chociaż i pikowe tak białe jak w innych kolorach, znajdną zwolenników. Oglądaliśmy pikowe koszule z nader gustownie układanemi gorsami u pana Starkmann na Krakowskiém-Przedmiesciu, wprost kościoła Karmelitów.

Spinki do rękawów u koszul używają się pojedyncze duże z czarnéj lawy, lub z portretami fotograficznemi.

Krawaty lekkie czarne są najużywańsze: mają one zwykle końce szeroko się rozchodzące, chociaż używają także na szyję czarnych chusteczek, zawiązujących się według fantazji.

Opis ryciny.

Fig. 1. Suknia zielona jedwabna, garnirowana u dołu dwa razy materją karbowaną i czarną koronką gipiurową. Stanik gładki do paska, zapięty na guziki. Rękawy gładkie przy ramieniu, otwarte przy ręku, oszyte plisą karbowaną i ozdobione kokardą z barb koronkowych. Szarfa i kokarda przy kołnierzyku koronkowa. Kołnierzyk i rękawki muszlinowe haftowane. Kapelusz krepowy ozdobiony piórami i kwiatami. Chustka kaszmirowa indyjska.—Fig. 2. Suknia jedwabna w kraty. Stanik *à la Raphaël*, czworograniasto z przodu wycięty. Rękawy fałdowane przy ramieniu, od łokcia do ręki ścięte i obłożone wkoło czarnym aksamitem. Paletot do figury z popeliny popielatéj, objęty wkoło aksamitem i garnirowany faldowaną wstążeczką. Paletot z przodu otwarte ma klapki, a z tyłu mały kołnierzyk. Szmizetka i rękawki muszlinowe. Kapelusz z tiulu jedwabnego w muszki, przybrany kwiatami. Parasolka mała składana.

KORRESPONDENCJA.

Pa. Ka. Kola...—Szale *tartanowe*, a nie tarlatanowe, jak to wydrukowano w przeszłym Numerze Tygodnika, są to okrycia ciepłe i dosyć ciężkie, odpowiednie na chłodną porę.

Sprostowanie —W numerze 24 naszego Tygodnika, w przepisie na pierniki anyżowe, zamiast: należy go odważyć *łutów dwa*, powinno być: *funtów dwa*, do czego bierze się dwa łuty potażu.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Warszawa d. 16 (28) Czerwca 1861 r.



MAGAZYN MÓD



320

Imp. Mariton

MAGAZYN MÓD

Warszowie.